

# TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 95.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 1 pół.

Warszawa,  $\frac{8}{20}$  lipca 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM IV.

## TREŚĆ NUMERU.

Hieronim Strojnowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa — Notatki z podróży po europejskiej Turcyi (z trzema drzeworytami) dalszy ciąg. — Od redakcyi. — Jan Śniadecki (dokończenie). — Róg obrzędowy górników wielkich (z drzeworytem). — Szachy i Rebus.

### Hieronim Strojnowski.

Za panowania Stanisława Augusta, kiedy nastal czas na wszelkiego rodzaju reformy, myslano wiele o poprawieniu i urzadzeniu szkól narodowych. Okolicznosci wywolaly ludzi; pod dobroczynnym sterem kommissyi edukacyjnej swietnie zazielenila sie niwa. Obok Kollataja, powstaja Poczobut i Strojnowski, ktorzy takze piekne sa zaslugi w sprawie wychowania narodowego. Obadwaj nietylko pisali dzieła, nietylko uczyli, ale byli takze i prawodawcami w sprawach edukacyjnych.

Strojnowski pochodził ze szlachty krakowskiej, herbu Strzemię, która się z czasem przeniosła do prowincyj ruskich. Rozgłosu nabrała ta rodzina przez znakomitego dowódcę chorągwi lisowskich za Zygmunta III. W starych latach, na wsi odpoczywając po trudach obozowych, Stanisław Strojnowski trudnił się sielanką, bo pisał o gospodarstwie stawowem, dla nauki braci szlachty. Pamiętamy niedawne z tego powodu pomiędzy uczonymi spory. Jedni dowodzili, że dwóch było Stanisławów, lisowczyk i pisarz; inni na jednego i sprawy wojenne i autorstwo składali. Zdaje się, że to ostatnie przypuszczenie stanowczo się utrzyma.

Hieronim urodził się 20 września 1752 roku w wsi Chodaczkowie, w powiecie krzemienieckim na Wołyniu, z ojca Benedykta i matki Maryanny.

Uczył się najprzód w domu, potem w Złoczowie u pijarów. Uczony zakon pociągnął go ku sobie; wstąpił więc do nowicyatu w Podolińcu na Spizu i nazwany Hieronimem od św. Bernarda (w sierpniu 1768). Professorem jego był wtedy Onufry Kopczyński. Skończywszy nauki, sam wykładał w Złoczowie i w Międzyrzecu Interamniae, mówi, tłumacząc na łacińskie wyraz polski, ks. Szymon Bielski. Potem starszyzna zakonna powołała go do Warszawy. Wyświęcony na kapłana przez Kacpra Cieciszowskiego, biskupa Tebarty, w r. 1776 został professorem matematyki, logiki i metafizyki, które wykładał przez lat trzy, to jest aż do roku 1779, w konwikcie Konarskiego, a potem dano mu katedrę prawa narodów, prawa natu-

ry, polityki i ekonomii politycznej. Pierwszy raz wykładano te nauki w Polsce i pierwszy raz po polsku. W swoim czasie robiło to, wszystko wziętość Strojnowskiemu, pomimo wszelkich wad wykładu, jakie być mogły. W dziejach literatury ojczyznej, Strojnowski tém samém zajmuje ważne stanowisko, że pierwszy na swojej drodze stawia kroki, że jest nauczycielem i przewodnikiem. Przed nim jeden tylko Tadeusz Młocki, staroście zakroczymski, wydał w Warszawie u jezuitów r. 1765 tłumaczony z francuzkiego: „Dowód z początków prawa przyrodzonego.“

wileńska ośmiu właśnie ze zdolnej młodzieży posyłała do Krakowa. Strojnowski, który pragnął się zbliżyć do Kollataja, żeby zbliżka patrzeć dla własnej nauki na znakomite jego prace, podjął się być ich nadzorcą, czyli, jak nazywano wtedy, prefektem. Przybył z ośmiu młodych do Krakowa w r. 1781 i dwa lata przepędził w starodawnj stolicy, obok Kollataja i Śniadeckiego. Doktoryzował się tam w teologii i w obojgu prawach. Żył ciągle pracą i nauką. Rozum jego dojrzał, bo szersze teraz obejmował widoki w sferach umysłowych.

Wzrostu średniego, był Strojnowski suchy i zawiedły; ale wyraz jego twarzy pokazywał na zdolności. Spojrzenie samo miał bystre i przenikliwe. Żywy z natury, ale słabowity, umiał pracować porządnie i systematycznie; te zalety odbijały się w całym jego postępowaniu. Czasu doskonale umiał używać. Nie zgłębił dostatecznie swojej nauki, bo za granicą nie bywał, profesorów obcych nie słuchał, a w Polsce nie miał przed sobą żadnego wzoru; czytał tylko dzieła w językach cudzoziemskich i obeznawał się ile mógł z nowemi pojęciami, z postępem nauki. Dlatego niewiele umiał, ale co umiał, to dobrze. Wyobrażenia jego o przedmiocie były jasne, tłumaczenie się logiczne. Niewielki znawca polityki jako nauki, biegłym był politykiem w stosunkach z ludźmi. Obrotny i zręczny, znał świat polski, to jest ludzi i dwory. Zręczny i polerowny, jak dworak staniśławowskich czasów, nie ubliżył nikomu. Wykwintny był w ubiorze, w mieszkaniu, w samym sposobie życia. Dbał o powagę urzędu, o przystojność, blask i okazałość stanowiska. Tolerant dla wszelkich opinij religijnych i niereligijnych, dawał sam z siebie piękny przykład wyrozumiałości. Niezawsze tylko poznawał się na ludziach.

Powrócił do Wilna w r. 1783 na samo otwarcie kursów w akademii, która już zreformowała się wtedy i miała zupełną liczbę profesorów. Uroczysty to był dzień dla Wilna. Biskup Massalski, prezes kommissyi edukacyjnej, kapituła jego, trybunał litewski i wielu dostojnych gości, senatorów i szlachty napelniało izbę akademicką, przybraną wspaniale. Nabożeństwa i mów nie brakowało przez tydzień. Po Naruszewiczu i Pilchowskim, drugiego dnia zagał posiedzenie prof. astronomii ks. Strzecki, a po nim wziął głos Strojnowski (29 listopada). Mówił o nieśczęśliwych skutkach dla ludzi i narodów, z powodu niedostatecznej znajomości praw moralnych i politycznych, które stanowią samo prawo natury. (Z gazet ówczesnych.) Wykładając swój przedmiot, zebrał dzieł-



HIERONIM STROJNOWSKI. (Rysował Polkowski podług sztychu Izyd. Weissa).

Kommissya edukacyjna chciała Strojnowskiego na wyższym postawić stopniu i dlatego w r. 1784 dała mu katedrę prawa natury w akademii wileńskiej. Ale niedługo bawił na Litwie uczony professor. Nie było w całej Rzeczypospolitej instytutu pedagogicznego, a potrzeba nauczycieli do szkól wielka. Akademia

ko, które drukiem ogłosił w Wilnie 1785: „Hieronima Strojnowskiego, prof. w akad. wil. Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomii politycznej i prawa narodów.“ W drukarni akademickiej, w 8ce, str. 352.

Była to książka elementarna, autor przeznaczał ją za podręcznik do wykładu dla nauczycieli. Nie chybił celu swojego, bo książki tej używano powszechnie po szkołach polskich, chociaż nie polecała jej bynajmniej kommissya edukacyjna; sama opinia dziełku wystarczała. Jasny w wykładzie, Strojnowski jednak nie wyczerpuje przedmiotu, nie celuje logiką i systematem; posprzęgał tylko z sobą różne pojęcia i zasady, nie troszczył się o ich związek. Wyrzucił mu to później w lat kilkadziesiąt Feliks Słotwiński w „Rozprawie o historii prawa natury“ r. 1813. (Porównać Bentkowskiego, Hist. lit. pol. tom II, str. 36 i 75.) To pewna, że w swoim czasie dziełko było użyteczne, a Czacki sam powiedział, że „ta książka stała się dla całej społeczności potrzebną.“ Od Strojnowskiego zaś aż do Słotwińskiego nauka mały postęp u nas zrobiła, owszem prawie żadnego. Dowodem tego były pomiędzy innymi częste przedruki Strojnowskiego i w Wilnie i w Warszawie. Po czwarty raz wydano jego dzieło w r. 1805 w Warszawie, w drukarni na Nowolipiu, w 8ce, str. 304. Anastasiewicz tłumaczył je na rosyjskie i wydał w Petersburgu r. 1809.

Oslabiony pracą, wyjechał do Włoch Strojnowski. Zwidił Florencją, Rzym i Neapol, poznał się z uczonymi mężami, z Beccaria, Moschatim, Fabronim. W Rzymie miał posłuchanie u papieża. Oglądał muzea i galerie; żywo zajęły go pomniki starożytności; nabrał w tej podróży smaku do sztuk pięknych i odtąd całe życie zajmował się niemi z miłością. Został w roku 1787 członkiem florenckiej akademii nauk, a w roku 1789 rzymskiej Arkadów. Nauczył się po włosku tyle, że mógł rozmówić się tym językiem.

Wróciwszy do ojczyzny, obał znowu swoje obowiązki w akademii. Miał „mowę przy rozpoczęciu dwuletniego kursu prawa przyrodzonego w Wilnie dnia 5 października 1789.“ Mowa ta jest wydrukowana. Wtedy, chcąc być użyteczniejszym w sprawie edukacji narodowej, za poradą rodziny wystąpił ze zgromadzenia pijarskiego i został księdzem świeckim. Stolnik litewski, światły obywatel, książe Stanisław Czartoryski, dał mu zaraz prezentę na probostwo w Korcu. Cieciszowski mianował go kanonikiem katedralnym kijowskim; ale Strojnowski mimo to nie rzucił akademii.

Za sejmu wielkiego wszystkie zdolności narodowe powołano do pracy. Książę Strojnowski miał z tego powodu na posiedzeniu akademickim z dnia 1 lipca 1791 r. mowę, która także jest drukowana w Warszawie, w 4ce. (Mowa z okoliczności ustawy rządowej, miana w Wilnie i t. d.) Na kilka dni przedtem na sejmie zapadło prawie jednomyślnością powołanie dwóch deputacji, dla ułożenia kodeksu cywilnego i kryminalnego, jednego dla prowincji koronnych, drugiego dla litewskich (28 czerwca). Żeby się zbyt nie ścieśniać w doborze osób, sejm przyjął, że oprócz posłów i senatorów, członkami tej deputacji być mogą obywatele nie z łona sejmowego. Powołani więc do składu owych deputacji: Joachim Chreptowicz, Kołłątaj, Szymanowski, ks. Reptowski, Wybicki, Weissenhoff, szambelan Wolski i Strojnowski, któremu król dał jednocześnie sławny swój medal *merentibus*. Rok tylko jeden pracowała ta kommissya nad kodeksem, bo w r. 1792 rozproszyła ją Targowica.

Skutkiem wypadków w roku 1793 oznaczono na sejmie grodzieńskim nowy skład członków kommissyi edukacyjnej, którą na dwie połowy rozszerepiono, jedna była dla Korony, druga dla Litwy. Trwało to chwilę aż do drugiego rozbioru, poczem znowu stopiły się w jedną obiedwie kommissye. Strojnowski, obrany jej członkiem, aż do upadku rzezypospolitej był kommissarzem edukacyjnym. Na ostatniej sessyi, która się odbywała w Warszawie w bibliotece Żalskich 10 kwietnia 1794, byli: książę prymas, biskup chełmski, ks. Gawroński kanclerz krakowski, Strojnowski i Mikołaj Wolski (Łukaszewicz, Historia szkół, tom II, str. 169).

Otworzyło to wstęp Strojnowskiemu do kapituły wileńskiej. Poważne osoby wpływały na księcia biskupa Massalskiego, żeby do niej przypuścił męża poważnego nauką i zasługami. Józef Łopaciński, biskup trypolitański, scholastyk katedralny, przyjął go sobie za koadjutora, a król orderem św. Stanisława ozdobił.

Upadek ojczyzny ciężką dla wszystkich był klęską. Strojnowski widział króla raz jeszcze, kiedy przez Wilno z Grodna przejeżdżając do Petersburga, zwidił akademią wileńską (20 lutego 1796). Miał znowu do niego „Mowę przy ofiarowaniu dzieła nauki prawa natury.“ Wysłała ta mowa także z druku.

W roku 1797 otrzymał Strojnowski probostwo św. Jana w Wilnie. W r. 1799 był prezesem trybunału litewskiego w kole duchownym. Ostatni to raz sądził się w Wilnie trybunał całkowity, staropolskim obyczajem przez sześć tygodni, duchowny po ziemskim. Ostatni raz sześciu deputatów świeckich i sześciu duchownych obok siebie zasiadało, z kapituły wileńskiej trzech, ze żmudzkiej dwóch, ze smoleńskiej jeden. Kapituła inflancka zginęła nawet z imienia.

Prosił Poczubot o uwolnienie i w r. 1799 profesorowie wybrali Strojnowskiego rektorem akademii. Ujrzał się wtedy na czele władzy, z większym wpływem jak za czasów polskich. Ustanowiono bowiem kommissyą tymczasową edukacyjną w Wilnie i Strojnowskiego przesłano do niej na członka. Samo z siebie wynika, że jako rektor szkoły głównej, miał we wszystkim głos przeważny. I potrzeba nawet było całego hartu duszy, bo rozpoczęły się na dobre intrzygi jezuickie. Przykro było potężnemu niegdyś zakonowi patrzeć na to, jak drogie jego dziecko, akademii wileńska, w świeckie przechodziła ręce. Po kassacie jedynie tylko w Rosyi utrzymali się przy swoich kolegiach i przy urządzaniu na nowo spraw edukacyjnych na Litwie; nic dziwnego, że myśleli o powetowaniu strat tak niedawnych. Otrzymali w Petersburgu wyrok zajęcia gmachów i zakładów akademickich wileńskich; sam generał przybył do Rosyi i pracował nad tem, a nawet Wilno nawidził. Strojnowski podał prośbę do rządu o sprawiedliwość i zajęty ważną rzeczą, pomniejsze spuszczał z uwagi. Nawet Poczubot zastępować go musiał w rektorstwie akademii.

Trwa ta walka lat kilka, w ciągu których Strojnowski obchodził uroczystości z akademią wstąpienie na tron nowego monarchy. „Mowa na obchód koronacji cesarza Aleksandra I, miana dnia 29 września 1801,“ powiększyła liczbę drukowanych mów Strojnowskiego.

W r. 1803 w sprawie edukacyjnej zaszły ważne rozporządzenia. Postanowiono okręgi naukowe. Książę Adam Czartoryski, mianowany kuratorem wileńskim, wezwał Strojnowskiego do Petersburga, dla wygotowania stosownych rozporządzeń i projektów. Rok cały pracował rektor pod okiem księcia. Nietrudna to była dla niego robota, lubo mozolna, bo już poprzednio i uczył i rządził, znał doskonale i systemata i szkoły. Ukończywszy prace 17 czerwca 1803 roku, uroczystości obchodził w Wilnie ogłoszenie nowego statutu akademii. Jak niegdyś Kołłątaj w Krakowie, tak teraz Strojnowski w Wilnie, miał, rektorem będąc, rozwijać własne plany. Rektorstwu jego oznaczono czas trzyletni, od r. 1803—1806. Po śmierci biskupa Łopacińskiego w tymże r. 1803, został scholastykiem wileńskim.

Naturalnie szedł Strojnowski zupełnie za podaniami kommissyi edukacyjnej, z pewnemi jednak zmianami. Mógł wszystko zrobić wtedy, ale fałszywe teorie, i błędne przywidzenia wiele zepsuły sprawę, którą mógłby nawet swobodnie i na większą skalę przeprowadzić, jak Kołłątaj. Książę Hugo pierwsze łamał lody, narzązał się opinii i starowiercom; Strojnowskiemu pomysłniej szła walka. Zważmy i to, że Kołłątaj reformował jedną tylko akademią, kiedy Strojnowski cały system edukacyjny.

Błędy popełnił głównie w urzędzeniu szkół na Litwie i Rusi. Oświecenia religijnego w szkołach świeckich zupełnie zaniedbał i niczem go, żadnem postanowieniem nie określił, zdając wszystko na walkę losów, na ślepy przypadek. Zagarnął pod swój systemat szkoły zakonne, nie dał im stosownego kierunku; duchowieństwu odebrał wychowanie dzieci.

(Dokończenie nastąpi.)

## Kronika tygodniowa.

Babilon był miastem wspaniałem. Któż niesłyszał o jego ogromie i bogactwach? czémże obok niego Paryż, a nawet olbrzymi Londyn? Trzeba wiedzieć że obwód stolicy assyryjskiej, mierzony za czasów Teglad Phallassara, wynosił 79 *ssurh*, co czyni na naszą miarę mil 43 przeszło, a przecież za następnych królów jeszcze się rozrastał.

Za panowania jednego z władców Assyrii, założono dwie nowe dzielnice miasta i jednej nadano nazwę królewskiej, drugą zaś, na pamiątkę zniszczenia Dawidowego grodu, starożytnym imieniem żydowskiej stolicy ozdobił. Godne też obie były swego założyciela, mianowicie dwie główne ich ulice, toż samo miano noszące. Nowe gmachy wyrastały tam jak grzyby po lipcowym deszczu, a chociaż Babilończycy je-

szcze naówczas nie przyszli do tej doskonałości, aby domy na spekulacją budować i w niewyschłych murach osadzać lokatorów, to jednak miasto rosło jak na drożdżach.

Cieszyli się mieszkańcy Babilonu i tłumnie zażywali przechadzki po ulicach obydwóch w niedziele i uroczyste święta, zwłaszcza że do pierwszej przytykał wspaniały ogród publiczny, a druga szerokością i wdziękiem długiej alei z cyprysów i laurów, oraz stacją kolei żelaznej przez Semiramidę tu wystawioną, wabiła tamtejszy świat piękny w nową część miasta.

Ale środkiem owych przepysznych ulic płynęły smrodliwe ścieki i zarażały powietrze okropnemi wyziewami, głusząc woń słynnych róż assyryjskich; mianowicie też w porze letnich upałów, po deszczu, niepodobna było przechodzić temi pięknymi ulicami Babilonu.

Znakomity kronikarz Beroz, z któregośmy te wiadomości czerpali, nie wspomina wcale ząd owe źródło nieczyste wypływały; pisze tylko że toczyły wody czarne, a nawiasem narzeka na czuwających nad upiększeniem miasta, że zamknęli uszy swe na narzekania Babilończyków i zajmując się czém inném, nie myśleli o uporządkowaniu tych pięknych ulic; a zdarzało się często że niewiasty mdlały, mężczyźni zło-rzeczyli, a dzieci wracały z porządnym katarem do domu.

Szczęście to prawdziwe, że Warszawa niema żadnej ulicy podobnej miano noszącej, bo są czasem imiona do których łączy się fatalizm, i idę w zakład jeden naprzeciw dziesięciu, że w razie pojawienia się u nas ulic podobnej nazwy, tenże sam los zagroziłby Warszawianom.

Późniejszy historyk, Phul-Phallassar, opisuje w swoich rocznikach, iż w Babilonie panował zwyczaj zlewania chodników w czasie upałów wodą; stroże jednak domowi, przez lenistwo wrodzone wszystkim narodom wschodnim, zamiast używać na ten cel wody studziennej, wydrążonemi łopatami czerpali smrodliwą wodę ze ścieków ulicznych i tę po bruku rozlewali, zatruwając i tak niezbyt czystą atmosferę miasta.

Patrząc na naszych stróżów, któżby pomyślał że to potomkowie owych babilońskich niedbalców?

Jeden wszakże zwyczaj tameczny zasługuje na uwagę i naśladowanie, łączy bowiem w sobie oszczędność z estetyką, *utile dulci*.

Pewnej zimy spadły w Babilonie ogromne śniegi, i mieszkańcy stolicy sankowali się do upadłego; a uciecha była wielka, bo rzadka w tym gorącym klimacie. Skutkiem tej długotrwałej sanny, na ulicach Babilonu utworzył się pokład lodu, miejscami na dwie stopy gruby.

U nas wyrębywanoby je natychmiast i wywieziono za miasto; lecz w Babilonie inaczej zrobiono. Przedsiębiorcy czyszczenia ulic postanowili oszczędzić sobie pieniędzy i przysłużyć się zarazem mieszkańcom widokiem nieznanym, ile że w tych okolicach śnieżnych gór nie było; wyrąbali więc lody i ułożyli je po obu stronach ulic w wysokie kupy, które dawały w miniaturze obraz łańcucha gór Araratu.

Za nadejściem ciepła, gdy publiczność nacieszyła się dowoli tym widokiem, porozrzucano owe śnieżne góry po ulicach napowrót, a słońce kwietniowe roztopiło je i zaniosło do Wisły, przepaszam... do Eufratu.

Zadziwi czytelników ta moja assyryjska erudycja; niejedną zalować będzie zem się nie urodził w Babilonie i do tamtejszego Tygodnika Ilustrowanego kroniki nie pisuję, i zapewne zżymać się będzie żem o Warszawie zupełnie zapomniał.

Otóż przekonam szanownych prenumeratorów, że równie jak Babilonem, i Warszawą się zajmuję, a nasamprzód muszę państwu donieść, o czém zapewne nie wiecie, że w przeszły wtorek była w Warszawie ogromna ulewa, z błyskawicami, grzmotami i piorunami, słowem z całym przybozem zbrojowni napowietrznej. Żal mi szczerze tych, co jej nie widzieli, bo zaprawdę, przepyszny to był widok; zdawało się że jak za czasów patryarchy Noego, otworzyły się upusty niebieskie, a Warszawa przedstawiała istny obraz potopu.

Środkiem Krakowskiego Przedmieścia szalały spienione fale i zerwały komunikacje pomiędzy obydwoma stronami ulicy. A morze to zasilały potężne rzeki, w które się zamieniły ulica Królewska, Czysta i Trębacka.

Rzecz wprawdzie niewygodna, ale jakaż to rozmaitość dla oka, kto w swém życiu nie oglądał morza! Wyjrząwszy oknem, mógł mieć wyobrażenie jeśli nie o oceanie, to przynajmniej o Baltyku.

Ej, kochana stolico, czyż się nie rumienisz w obecnych siostrzyc, że w drugiej połowie XIX wieku nie posiadasz jeszcze kanałów? Czyż dlatego, że godłem twém syrena, lubisz się pluskać w wodzie, i to nie

w czystych, kryształowych źródłach, ale w szpetnej dęszczówce?

Stoisz się, powabna elegantko, w nowe domy z pysznymi facytami, jak w piękną suknię materyalną; ale twe trzewiczki i inne akcesorya ubrania niekoniecznie świeżo wyglądają.

A gdy cię kto zagadnie o to zaniedbanie, wiecznie odpowiadasz że nie masz pieniędzy.

Gdybyś mię jednak zapytała, w jaki sposób Kraków postarał się o piękne, podziemne, z ciosowego kamienia zbudowane kanały, odpowiedziałbym ci:

Nalożył podatek na mięso, po groszu od funta.

Marszczysz twe piękne czoło, siostrzyczko, i wyrzucasz mi że się osmielam podawać myśl tak zgubną dla kieszeni biednych mieszkańców.

Sluszenie, bardzo sluszenie, zgadzam się że to błąd. A więc podam ci inny sposób. Na twych pięknych ulicach codzien dosyć, a w każdej niedzielę i święto mnóstwo snuje się pijanych ludzi, którzy szpecą twą wykwinną powierzchowność. Osobliwie też po odleglejszych, uboższych ulicach zgroza patrzeć co się dzieje.

Ileż to tam demoralizacji, kłótni i bijatyk! Wieczór sobotni i cała niedziela, to prawdziwa kampania jednej części ludności przeciw drugiej.

Szynki przepelnione zatrują wódczaną atmosferą ulice, katarynki podniecają do hulanki, pijacką wrzawę daleko słycać, trudno przejść tamtędy i serce ściska się na ten widok.

A przecież jesteś przywoitą i pobożną, siostrzyczko, a wielka z ciebie filantropka: zakładasz ochrony, i podobno masz zamiar wybudowania nowego gmachu dla Towarzystwa dobroczynności.

Spuszczasz oczęta i rumienisz się; no, no, nie rospaczaj, znajdziemy sposób.

— Jaki?

— A gdybyśmy też opodatkowali wyżęj, nierównie wyżęj, wódeczkę i spirytualia, nie wyjmując nawet owego szumiącego płynu, co to krocie porywa za granicę?

— A bordejskie likwory!

— A ostrygil!

— A trufle perygordzkie!

— A pasztety sztrasburskie!

— A lafitki po 6 rubli!

A widzisz, siostrzyczko, jakie wynaleźliśmy źródła dochodów.

Ileżby tym sposobem pieniędzy zostało w kraju, którebyśmy mogli użyć na cele publiczne, a najprzód na budowanie kanałów.

— Lecz wiesz przecie, kronikarzu mój, że to o demnie nie zależy.

— Ja się w to wcale nie wdaję i robię tylko projekcik.

— Na projekt zgoda.

— Resztę twęj przemyślnęj główce zostawiam.

Ożywiony tą wymuszoną rozmową, szedłem wesoło środkiem Nowego-Swiatu, gdy wtém na drodze ujrzałem wóz używany do przewożenia mieszkańców Warszawy i ich penatów z domu do domu.

Cieszę się z każdego ulepszenia jakie dostrzegam w naszym mieście, i choć to rzecz stara, ile razy zobaczę wóz meblowy, na nowo cieszyć się zaczynam.

Bo też owe tak pożyteczne wozy już z tego względu zasługują na uwielbienie, że biedne meble ochraniają od wszelkich słabości z otrzęsienia powstających.

— Patrz, mówię do nadchodzącego pana Karola, oto mi wóz! W tych dniach przeprowadzam się, a ponieważ niezbyt wiele mam sprzętów, najmę sobie tę arkę na pół dnia.

— Ja ci radzę na cały dzień.

— Ależ się na dwa razy zabiorę.

— To też właśnie dla tęg przyczyny najmij na cały dzień.

Toż przecie, mój drogi, z Nowego-Swiatu na Królewską ulicę nie mila drogi.

— Wiem o tęg, i dlatego ci radzę najmij na cały dzień.

— Bawisz się w sfinksa; wytłumacz lepiej co to ma znaczyć.

— Oto widzisz: jak go zamówisz na pół dnia, to przyjedzie dopiero około piątej po obiedzie, raz naloży, raz odwiezie rzeczy i powróci do domu; więc kłopot próżny drugi raz najmować. A gdy zamówisz na cały dzień, to zrobi tak jakmnie: przyjedzie o jedenaście, a do siódmęj wieczorem wszystko będzie skończone.

— Żartujesz ze mnie.

— Nie jestem w humorze żartowania, bo tylko co zapłaciłem za nic dwa ruble czterem ludziom, którzy najęci do znoszenia rzeczy i układania ich na wozie, z powodu opóźnienia się tegoż od piątej z rana do południa z założonemi rękami czekali.

W przeszlej kronice umieściliśmy wiadomość o nader praktycznych piecach, zwanych *kodymkami*. Otóż donosimy łaskawym czytelnikom, że dwa modele tych pieców, to jest jeden salonowy, a drugi zastępujący wybornie kuchnię angielską, zostały już nadesłane do redakcyi Tygodnika i w czwartki, piątki i soboty mogą być tamże oglądane pomiędzy godziną 6 a 7 po południu.

W Pradze czeskiej, pomiędzy innemi pismami, ukazał się nowy dziennik, redagowany przez Wojciecha Bielaka (Szimaczka), tęg osobliwy, że wziął sobie za cel wyuczyć Czechów po polsku, ażeby ułatwić pobratymczemu narodowi przystęp do skarbów naszej literatury. Redaktor wydawał swe pismo w ten sposób, że jeden i ten sam artykuł drukowano po czesku i po polsku, więszami naprzemian. Dziennik ten jednak już nie wychodzi.

Lipcowy zeszyt Biblioteki Warszawskiej zawiera dokończenie komedyi *Sztuka i Handel*, którą p. Kazimirz Kaszewski z francuzkiego przerobił, mówimy przerobił, gdyż praca Kaszewskiego daleko odbiegła od swego oryginału. Z pięciu aktów komedyi francuzkiej zostało trzy i czwarty krótki prolog, zniknęło zaś wiele rażących polskie ucho wyrażęń, do jakich paryzka publiczność nawykła i jakich słucha z przyjemnością. Charakter główny, około którego obwija się cały wątek komedyi, stanowi artysta, naleganiem rodziny a głównie miłością, sprowadzony z wyżyn poezyi za kantor sklepowy. Walka powszedniości z ideałem, do którego wydziera się ciągle biedny kupiec, kończy się zawodem bolesnym.

Po ośmnastu latach, spędzonych wśród rachunków kupieckich, Klemens wyzwała się z ciężkiego jarzma, a pierwszą jego myślą jest spróbować siły twórczej, która tak długo odlogiem leżała. Ale palce nieposłuszne nie mogą już wydać tego uczucia, jakie za młodu przepelniało serce artysty; lekkie, napowietrzne widziadła rozpięchły się bezpowrotnie, a biedny kompozytor mówi w boleści:

... kiedym dawnięj w gorączce młodzieńczej  
Puścił dowolnie palce po tym fortepianie,  
W sercu mém odzywało się dziwne szemranie  
Wszystkich dźwięków natury: szum jodeł, plusk rzeki,  
Raźne echa flisaków, gwar burzy dalekiej,  
Szepoty zorzy porannej i wieczorne głosy,  
Którymi na-pół senna ziemia tchnie w niebiosy.  
Wtedy ręka, wiedziona rozkazem natchnienia,  
Budowała świątynię z dźwięków i płomienia.  
O! bo wtedy muzyka była jeszcze we mnie!  
Czemuż, czarowne wizye! któreście mnie we śnie  
Młodości kołysały, zagasyły tak wczesnie?  
Zwiędły kwiaty mistyczne! i dziś nadaremnie  
Podziwiam Palestryny prostotę tak śmiałą,  
Darmo wielbię Mozarta melodyą wspaniałą;  
Nie rozumiem was mistrze! żadna już, niestety,  
Struna serca nie wtórzy głosowi poety!...  
Wspomnienie tylko w cichym szepcze mi zapale:  
To wielkie! lecz ja tego nie rozumiem wcale!

Jest to jedna z najpiękniejszych scen z całej komedyi. Z innych osób do sztuki wchodzących, zajmuje charakter córki Klemensa, Klaudyny, która uczuciem i energią od biernęj i chłodnej swęj siostry Wiktorji wybitnie się odróżnia. Na jedno tylko nie zgodzilibyśmy się w osnowie sztuki, — na oducie matki obu dziewcząt ze wszystkich kwiatów jakie nasze niewiasty zdołają. Kobięta oddana wyłącznie rachunkom kupieckim, których cyfry zastępują jęj miłość dla męza i dzieci, może często napotykać się w kantorach paryzkich, lecz u nas, dzięki Bogu, takich jeszcze nięma.

Założona w Warszawie przy ulicy Brzozowęj czytelnia dla rzemieślników, zawierająca już staraniem dobroczyńców 707 dzieł i 1400 tomów, bardzo piękne daje wypadki. W ciągu ubiegłego tygodnia zgłosiło się 430 pragnących korzystać z czytania, a w zeszłą niedzielę aż 430 zażądało wypożyczenia. Zachęceniem tęg założyciele czytelnia, otwierają drugą na Nowym świecie.

Inny jeszcze, nowy i bardzo użyteczny zakład powstał w naszym mieście.

Pod filarami teatru p. Cels Lewicki utworzył czytelnię publiczną. Oprócz doboru różnych dzieł, dzienników i pism peryodycznych polskich, znajdują się tam także publikacye tego rodzaju zagraniczne, a między innemi dwa pisma czeskie, jedno serbskie i jedno syrbskie czyli łużyckie.

Czytelnia ta tęg się różni od innych tego rodzaju zakładów, że przy niej urządzone salon do czytania, w miejscu w którym głośno rozmawiać nie wolno, aby czytelnicy wzajem sobie nie przeszkadzali. Wstęp kosztuje 5 groszy! a kto zapłaci 15 groszy, wolno

mu cały dzień kilkakrotnie wchodzić, wychodzić i zająć do czytania wszystkiego co się w zakładzie znajduje.

Jest to wielkie ułatwienie dla osób którym zostaje wolny czas od innych zatrudnień, bo za kilka groszy mogą czytać mnóstwo pism, na których abonowanie potrzebaby wyłożyć znaczną sumę.

Szczęście Boże!

## NOTATKI Z PODRÓŻY PO EUROPEJSKIEJ TURCYI.

PRzez  
**Warszawianina.**

### I. STAMBUŁ.

(Ciąg dalszy.)

Niemal każdy podobno Europejczyk, dostawszy się z Pery na tęg stronę zatoki, spieszy przedewszystkiem oglądać stary seraj, owo tradycyjne gniazdo osmańskiej potęgi, którego tajemnicze ogrody, z po za kąpiących się w wodach Bosforu murów wyzierające tysiącami drzew, minaretów, kiosków, kolumn, obelisków i pałaców, tak cudownie i czarująco przedstawiają się ze wzgórza Gałaty. Przybytek ten jednak, wyobraźnia nasza otacza urokiem tajemnicy i zgrozy, który przestał już dziś być dawną ową siedzibą władzy i rozkoszy, od czasu przeniesienia rezydencyi przez zmarłego sułtana na Dolma-Bageze. Stoi on dziś jako milezący pomnik przeszłości ottomańskiego państwa, w niektóre tylko dni uroczyste ożywiają się przybyciem sułtana i jego świetnego orszaku, rozkoszne zaś jego ogrody zostały schronieniem wysłużonych faworyt i odalisk.

Stary seraj, co na nasze znaczy tyle co: dwór stary, zajmuje posadę starożytnego Byzancjum, na cyplu samym półwyspu, wodami Bosforu i zatoki utworzonego, a kończącego się lekkim, w kształt rogu obfitości zagięciem, które mu nazwę rogu złotego zjednało. Mówią że obwód murów ze trzech stron seraju obejmujących wynosi z górą milę polską. Choćby to podanie przesadzone być miało, daje zawsze wyobrażenie o przestworze, jaki zalega dawna sułtańska rezydencya. Jest to małe miasto, z różnorodnych budynków, podwórców i ogrodów złożone.

Nie wspominając mnogich furtek, w różnych okolicach muru, nad którymi biegły orientalista zdołałaby może wyczytać na wpół zatarte napisy i o przeznaczeniu ich coś się dowiedzieć, wstęp do seraju otwiera wielka, marmurowa, sklepiona, posępna brama, cesarską zwaną, przed którą niegdyś zatykano głowy świętych z rozkazu padyszacha Turków, podczas gdy ciała straconych Chrzęścian lub Żydów leżały na ziemi, z głową pomiędzy nogi wetkniętą. Dziś podróżnego nie wstrzymują tu ani podobne przykłady srogości, ani owe liczne strażę, jakie niegdyś wnięście oblegały. W towarzystwie pierwszego lepszego oficera zostającego w służbie Porty, wchodzi się jaknajspokojnięj, pomijając szczupłe warty, na obszerny dziedziniec, mieszczący w sobie mieszkania różnych urzędników i serajowęj służby, dawną mennicę, kuchnię i t. p., a w pośrodku starożytny kościółek s. Ireny, jeszcze Konstantyna W. dzieło, w którym obecnie mieści się dobrana zbrojownia samęj wschodnięj broni, bogactwem kształtów i ozdób zdolna dostarczyć nieocenionych dla każdego artysty wzorów. W drugim, pomniejszym dziedzińcu, do którego wiodąca brama, *bramy zbawienia* nosiła nazwisko, w pustką stojącym obecnie gmachu, odbywały się zebrania dywanu, czyli wielkięj rady państwa. Trzeci dopiero podwórzec, do którego wchodzi się przez *branę szczęścia* obejmuje sam pałac sułtański.

Nie można powiedzić żeby to, co z tego chaosu korytarzy, przedsióneków, szczupłych komnat i sal obszernych oczom profana widzięć dozwolono, zadowalniało wyobrażenie, jakieśmy sobie o wspaniałości sułtańskiego siedliska tworzyli nawykli. Prawda, nie zbywa tu na przepychu i ozdobach, na kosztownych dywanach i obiciach, złocie i drogich kamieniach, na pracowitéj i pełnęj gustu rzeźbie i malowidłach; ale wszystko to nie zdoła wynagrodzić braku wrażenia, jakie w gmachach europejskiego budownictwa imponujące rozmiary architektoniczne i harmonijne sztuk plastycznych zastosowanie sprawiają.

Najwspanialszą ze wszystkich jest zajmująca cały osobny budynek sala tronowa, w której sułtan corocznie, w uroczystość Bajramu, przyjmuje czolobitność swych dygnitarzy i urzędników. Wzniesiony nad tronem baldachin, na którego przyozdobienie wysyła się misterna i cierpliwa rzeźba muzańskich artystów,

Isni aż cały od szczeręgo złota i drogich kamieni. Pojmujemy jakiem uwielbieniem dla bogactwa padyszacha mógł przejmować jego widok wprowadzonych na posłuchanie zagranicznych posłów; ale niestety! dziś już uwielbienia tego nie dopuszcza myśl natrętna, że lada dzień może te wszystkie klejnoty przejdą na zastaw, w ręce któregoś perockiego spekulanta. Jest to uczucie, które mimowoli ciśnie się do duszy, na widok każdego zabytku dawnej wspaniałości Osmanów.

Prócz sali tronowej i szacownego niezmiernie, tak pod względem bogactw jak i historycznej wartości, skarbcza, w którym każdy z sułtanów kolejną składał swój ryszunek, oręż, lub inne wyłącznie służące mu sprzęty, najgodniejszą uwagi jest biblioteka seraju, obszerna, jasna i z właściwym krajowi przyozdobiona wykwiem, a złożona, podobnie jak wszystkie księżnice tureckie, z samych nieledwie rękopisów. Przez długi czas mniemano że sułtanowie, łupiąc tyle miast chrześcijańskich, tu znosili zrabowanych bibliotek skarby, i cieszyli się nadzieją odszukania kiedyś w bibliotece serajowej niejednego zaginionego pomnika; nadania jednakże w tej mierze kilku europejskich

dewiz: *sic transit gloria mundi!*... Obszerny dziedziniec po za bramą, ciszą i chwastami bujnemi przypomina nasze cmentarze w koło kościołów. Smutno wygląda i sam w pośrodku stojący pałac, wielki, długi, jakąś zgniłą powleczonej barwą, mimo pięknej dość kolumnady i schodów marmurowych frontonu. Przebiegając zasłane kobiercami korytarze i puste sale, w których, oprócz sof niskich naokoło ścian, żadnego sprzętu, żadnej nie widać ozdoby, doznaje się niemiłego uczucia, jak gdyby w domu świeżo opustoszałym żałobą. Na każdy szelest głośniejszy, na łoskot własnem sprawionym stąpieniem, ogląda się człowiek z jakąś tajemną zgrozą, a uczucie jakiego się doznaje po wyjściu napowrót za wysoką portę, da się porównać z tą nieoznaczoną radością, jakiej doświadczamy wychodząc z ciemnych czeluści kopalni na jasny świat boży.

Od wiejących pustką i całunem ognisk dawnej tureckiej potęgi, wznosi się nieopodal gmach wspaniały, na który chrześcijanin jak i muzułmanin ze czcią zarówno spogląda: dzisiejszy meczet, dawniejszy kościół św. Zofii, *Aja-Sofja*. Zewnątrz uderza on raczej ogro-

jakie sprawił na mnie ten las kolumn, ciągnących się rzędami jak aleje olbrzymich drzew, piętrzących się jedno nad drugimi, i ta zawieszona nad nimi, niezmierną, różnobarwnym światłem napelniona kopuła, słowami oddać nie usiłuję. Porównać je tylko mogę z wrażeniem, jakie na znajomym powszechniej Zachodzie sprawia sławny tum w Kolonii. Naturalnie pokrewieństwo pomiędzy grecką bazyliką i gotycką katedrą zachodzące jest takie, jak w sferze na przykład poezji między pieśnią o Nibelungach a Orlandem Ariosta, lub Jerolimą Tassa; polega nie w stylu, lecz w ogromie, wspaniałości, bogactwie i właściwej każdemu z nich harmonii mass do budowy użytych.

Rozglądając się w tym pomniku dumy i pobożności Justyniana, mimowoli nasuwa się uwaga, ile wdzięczności świat ucywilizowany winien zdobywcy Konstantynopola, który czyniąc zeń świątynię swego wyznania, zabezpieczył go od niszczącego fanatyzmu swojej zwyciężkiej drużyny. Dzięki jedynie takowemu przeobrażeniu, na które się dziś oburza niejednen z mniej baczących turystów, ocalała przynajmniej w zupełności architektoniczna piękność budowy. Co



BYŁY KOŚCIÓŁ Św. ZOFII, DZIŚ MECZET, W KONSTANTYNOPOLU. (Rysował z fotografii Polkowski.)

uczonych, którzy znaleźli przystęp do niej w nowszych czasach, żadnych nie przyniosły rezultatów. Może być przecież, że dłuższe i troskliwsze poszukiwania do pomysłniejszych doprowadziłyby wypadków, i gdyby ktoś z ziomeków szczerze się nimi zająć zechciał, bardzo być może, iżby odszukać tu zdołał niejednen łup z ziemi naszej uniesiony.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć przy tej sposobności, że prócz seraju, w Stambule znajduje się przy różnych meczetach i szkołach tysiąc z górą księżnic, a pomiędzy nimi niektóre, przekazane przez sławnych wezyrów i innych znakomitych ludzi, również słuszne jak biblioteka sułtańska wzbudzać mogą oczekiwania.

Idąc do seraju i wychodząc z niego, przechodzi się tuż około urzędowego pałacu wielkich wezyrów, od którego wysokiej bramy cały rząd turecki otrzymał *rzędu wysokiej porty* nazwisko. Architektura grecka i gust wschodni szczęśliwie złożyły się na ten wspaniały, bogato rzezbą i napisami złożonemi przyozdobiony pomnik, na którym dziś, właściwiej niżli gdziekolwiek, położyłoby wypadało ową tylekroć stosowaną

mem, niż pięknością budowy, którą zresztą mnóstwo tureckich przystawek niemal zupełnie zakrywa. Wechodzi się do kościoła przez obszerny dziedziniec. Kilka fontan bije w pośród niego, łącząc srebrny swój szmer z szumem drzew rozłożystych. Kilka chwil spędzonych w tej pełnej chłodu i spokoju zagrodzie, błogo musi usposabiać do religijnego wniścia w siebie i modlitwy.

Przed zwidzeniem Stambulu, czytałem był kilka bardzo dokładnych św. Zofii opisów. Wiedziałem liczbę i wymiary kolumn, wysokość murów, długość i szerokość każdej z naw kościelnych, i zdawało mi się że posiadam niezłe całego kościoła wyobrażenie. Wszedłem do niego, i przekonałem się jak próżno trudziłem pamięć moją tym mnóstwem szczegółów, jak beużytecznymi pozostają wszelkie najdoskonalsze opisy wielkich pomników budownictwa. Z massy szczegółów, czyż podobna stworzyć sobie fizyognomią całości, o którą przecież w każdym dziele sztuki głównie chodzi?

Nauczony doświadczeniem, ani próbować nie chcę opisu meczetu zofijskiego. Ogólnego nawet wrażenia,

do akcesoryjnych jej ozdób i rzezb, mozaik, malowideł, te, jako pojęciom koranu w największej części przeciwnie, wprowadzie barbarzyńskiemu uległy niszczeniu; i tu przecież zniszczenie raczej powierzchowne było, niż zupełne. Niedbałość turecka kontentowała się pokryciem niemiłych sobie płaskorzezb lub obrazów grubą warstwą wapna, które dziś, w wielu miejscach odpadając, dozwala widzieć wyglądające z kilkowiekowego grobu twarze świętych i różnobarwne draperye ich odzień. Jeżeliby kiedyś jeszcze *Aja-Sofja* wróconą została chrześcijańskiemu obrzędowi, po umiejętnem zdjęciu tureckiego tynku, zdaje się że największa część pogrzebanych pod nim skarbow sztuki szczęśliwie do dawnej świetności przywróconą zostałaby mogła.

Obok wielkiej liczby niedoskonałości i wad istotnych, islamizmowi przyznać należy tę niezmierną zaletę, że do najwyższego stopnia uduchowia cześć Boga. Meczety muzułmańskie nie są to, jak u wielu innych wyznań, miejsca tajemnic religijnych i ofiar, lecz raczej domy wspólnej modlitwy i nauki boskiej. Skutkiem tego zbywa im zupełnie na zewnętrznych

nabożeństwa przyborach, który to brak nigdzie może tak wybitnie nie uderza, jak w olbrzymiej nawie zofijskiej.

Miejsce ołtarza zajmuje rodzaj szafy, z rzeźbionego i złoconego drzewa, *mihrab*, w której, podobnie jak to widzimy w żydowskich bóżnicach, znajduje się księga święta mużulmanów. Stary kobierzec, na którym miał się modlić niegdyś Mahomet, i para starych chorągwi wisi nad nią w górze, a po ścianach w pobliżu ryzstunki wojenne niektórych sułtanów, zapewne jako pobożne wota tu oddane. Dwa potężne świeczniki, ze stosownej grubości świecami, dopełniają ozdoby tureckiego *sanctuarium*. W niejakiej odległości wznoszą się po obu stronach dwie lekkie ambonki, z kąd duchowni czytają zgromadzonym koran, lub przemawiają modlitwy, a pod jedną z nich rodzaj okraconej łoży, w której sułtan bierze udział w nabożeństwie. Podłoga zasłana matami różnobarwnymi, a od sufitu wiszą na sznurach, kutasami ozdobione, strusie jaja i świeczniki różnokształtne, unoszące kolorowe lampy, które podczas wieczornego zapalają się nabożeństwa. Otóż cała wspaniałość i ozdoba, na jakie umieli się zdobyć Turcy w najslawniejszej swjej świątyni w Stambule.

W podobny sposób, z drobnymi w szczegółach odmianami, urządzone są wewnątrz wszystkie meczety. I pod względem budownictwa nie przedstawiają one tej różnorodności, jak kościoły w chrześcijańskich miastach. Wszystkie znaczniejsze świątynie stambulskie, tak przerobione z dawniejszych greckich, jako i nowo przez Turków wzniesione, w głównych zarysach przypominają gmach św. Zofii. Wniście do każdej poprzedza obszerny, krytymi krużgankami i fontannami ozdobny dziedziniec, wewnątrz zaś uderza bogactwo kolumn i mniejsza lub większa śmiałość zamykających budowę kopuł. Nie można jednakże powiedzieć, żeby kolejne ich zwidzanie dlatego przesycić miało. Oko i umysł lubuje się klasyczną harmonią kształtów i tą masą marmurów różnobarwnych, porfirów, jaspisów, serpentynów, tworzących całe ściany, lub w jednolite olbrzymie wyciosanych słupy. Dla nas osobliwie, synów biednego ceglanego kraju, widok ten ma coś dziwnie imponującego i uroczystego, rzekłbym coś tak upajającego, jak widok świetnych wystaw złotniczych dla biednego naszego kmiecia, co z furką drzewa do Warszawy zjechał. Dodać do tego należy, że wiele kolumn dzisiejszych meczetów sklepienia podpierających, są cennymi zabytkami starożytnej sztuki. Tak kolumny podpierające kopułę św. Zofii jedne wzięte zostały ze świątyni słońca w Balbeku, inne z kościoła Dyana w Efezie. W meczecie Sulejmana również utrzymuje kopułę sześć słupów olbrzymich, na których niegdyś stały posągi bogów i monarchów. Przy zamienionej z dawniejszego kościoła *Kilesse-Dżami*, widzieć można użyte za czasę do przyjmowania wody z fontanny, ogromny, z zielonego marmuru sarkofag, w którym, podług podania, spoczywały zwłoki Konstantyna, założyciela powtórnego miasta. Ktoby się szczególniejszemu temu poświęcił, znajdzie mnóstwo podobnych zabytków w innych meczetach lub przy nich.

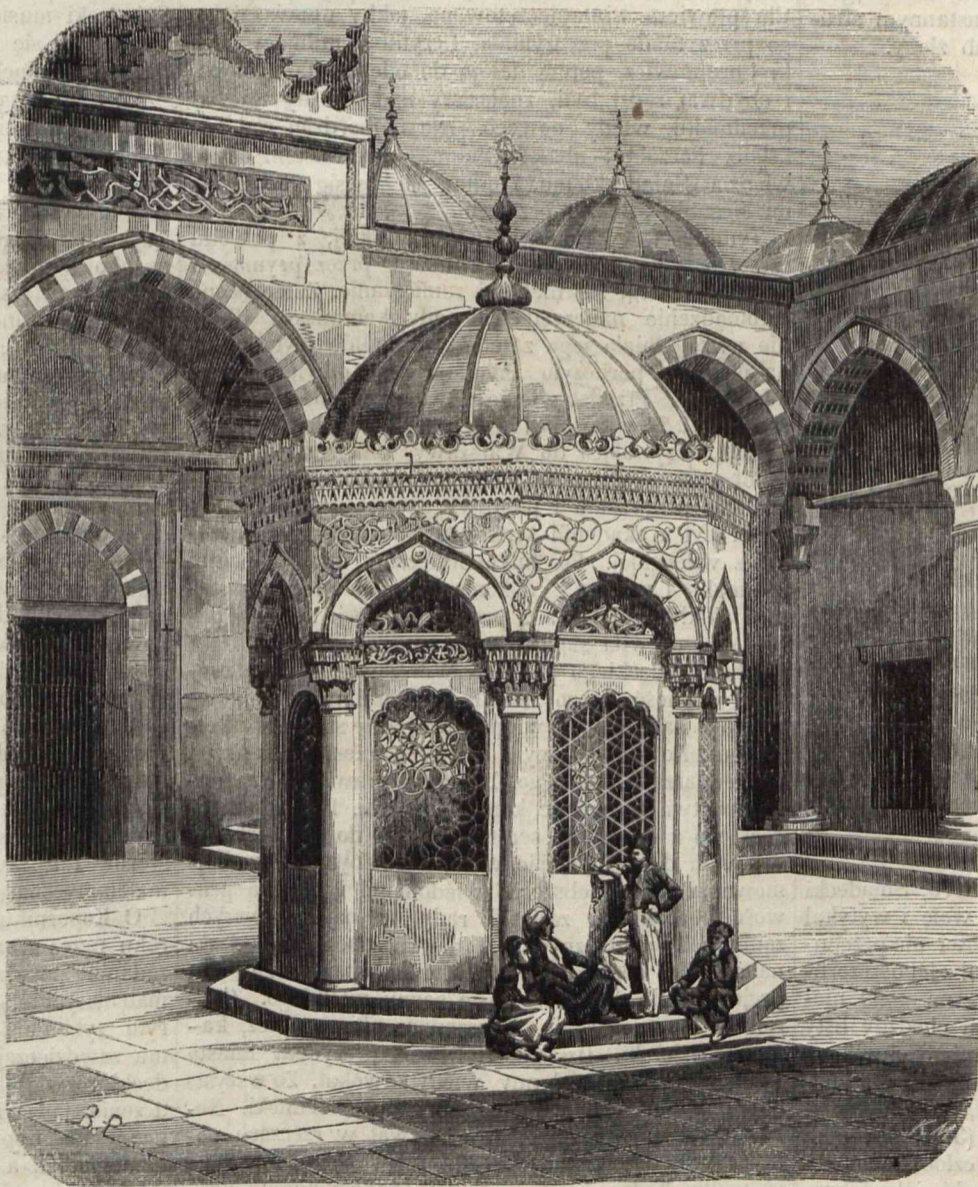
Prócz św. Zofii, największej czei doznają meczety: sułtana Achmeta, Mahometa II, czyli zdobywcy, i Ejuba. Pierwszy z nich, zwykle w skrótach *Achmedzie* zwany, podług myśli założyciela miał zająć miejsce przed wszystkimi świątyniami mużulmańskimi, z wyjątkiem jednego wielkiego meczetu w Mekce. Podczas bowiem gdy wszystkie inne meczety najwyższej czci posiadają minarety, Achmet przyozdobił wzniesioną przez się budowę aż sześcią wysmukłych wieżyczek, to jest liczbą jaką przedtem jedna mekkańska zaszczycała się świątynia. Dla nieubliżania jej jednakże, Achmed siódmy zbudować musiał przy niej minaret, zanim dla swego meczetu otrzymał od duchowieństwa na sześć pozwolenie. Przynać należy, że wspaniałością i pięknnością gmach ten usprawiedliwia pretensją swego założyciela. Budowniczy jego widocznie naśladował plan zofijskiej bazyliki, lecz w szczegółach tyle go przekształcił i dopełnił własnym wschodnim

gustem, że całość przybrała całkiem oryginalny, lekki, powietrzny i uśmiechający się charakter. Od białości marmurowych ścian i kolumn cudownie odbijają złoczone napisy z koranu, mistrzowską wykute ręką, z takim wdziękiem i fantazją, że się raczej zdają swawolnemi arabeskami, niż głoskami jakiegokolwiek alfabetu. Przepudna jest także rzeźba, naśladowująca wpo-



ZWYCZAJNA FONTANNA TURECKA.

nadedrzwiami podniesioną i sznurami podpiętą zaslonę. W zgięciach jej taka lekkość i prawda zadziwiająca, że, rzekłbyś, artysta zdołał na chwilę zmiękczyć i w draperie ułożyć marmur, który potem znów skamieniał.



FONTANNA PRZY MECZECIE JENI-DŻAMI. (Rysował z fotografii Podbielski.)

Meczet Ejuba wznosi się na przedmieściu tegoż nazwiska, ku końcowi zatoki złotego-rogu położonem. Sławę swą zawdzięcza grobowi słynnego z meztwa i świętobliwości chorążego Ejuba, poległego przy pierwszym bezowocnym oblężeniu Konstantynopola przez mużulmanów. W nim odbywa się obrzęd przypasowania nowo wstępującym sułtanom miecza Osmana, założyciela ich dynastji, niejako koronacyi chrześcijań-

skich monarchów odpowiadający. Po tym obrzędzie, sułtan udaje się do meczetu Mahometa zdobywcy, uczcić grób tego wielkiego wodza i błagać o natchnienie jego duchem.

Oprócz wymienionych, takich pierwszorzędných meczetów kilkadziesiąt znajduje się w Stambule; ogólna zaś liczba świątyni „*dżami*,” to jest niby na nasze kościołami zwanych, wynosi do pięciuset. Prawda że po największej części są to niezmiernie proste, czworoboczne, okrągłe lub ośmiościenne budowle, których jedyną ozdobą są wysmukłe minarety. Mużulmanie, którzy wynaleźli ten rodzaj lekkich wieżyczek, doprowadzili do najwyższej doskonałości sztukę wznoszenia ich wdziecznie i trwale, bez względu czy to z kamienia, czy z cegły, tak iż przy najlichszej nawet dżamijce nie zdarzyło mi się nigdy spotkać minaretu, którego widok nie wzbudzał tego zadowolenia, jakie zwykle sprawia każde w sobie doskonałe dzieło. Jeżeli, jak to niektórzy estetycy twierdzą, wieże naszych kościołów są wyrazem odrywającego się od ziemi i szukającego nieba ducha, minarety charakter ten posiadają w bez porównania wyższym jeszcze stopniu. Nasze wieże, to niby duch wznoszący się stopniowo, przez mnóstwo form, ku Bogu; minaret, to duch jednem nagłem natchnieniem rzucający się jak strzała w nieskończoność.

Wieczorem w piątki, które, jak wiadomo, są niedzielami mużulmanów, tudzież w inne święta, dżamje wszystkie bywają oświecone. W najbiedniejszych, jeden li posiadających minaret, tylko na galeryjce u szczytu takowego błyszczy kilkanaście lamp różnobarwnych; na zamożniejszych oświetlenie coraz to rzesistsze. Gdzie się znajduje więcej jak jeden minaret, tam na rozciągniętych drutach łączą się błyszczące girlandy, niby z gwiazd rozmaitych kolorów związane; na najznakomitszych zaś świątyniach całe kopuły i frontony, w ważniejsze zwłaszcza uroczystości, płoną w rozliczne wzory i postacie. To mnóstwo światła, rozproszonych na wielkiej przestrzeni i błyszczących wysoko ponad

pograżonem w ciemności zupełnej miastem, czarodziejski sprawia urok. Prócz dżamij, Stambul obfituje jeszcze w wielką liczbę niby naszym kaplicom odpowiadających, pomniejszych miejsc modlitwy, pod nazwami *medjid* i *teke* znanych, a których razem ma być na tysiące. Medjidy, z którego to słowa powstało nasze zepsute meczet, nie mają nic sobie właściwego i tylko szczupłością, tudzież niedostatkami przywiązanych zazwyczaj do dżamij fundacyj, od takowych się różnią; teke zaś należą do bractw różnego rodzaju derwiszów i po części największej otoczone bywają rodzajem klasztorów, w których ci dewoci Islamu w świętym przemieszkują próżniactwie. Niektórzy z nich zyskują sławę i ściągają do siebie liczną publiczność dziwaczniemi, a nawet często meczącemi obrzędami w dni świąteczne. Jak mi mówili znajomi moi, którzy mieli i czas i sposobność głębiej wniknąć w istotę instytucji mużulmańskich, derwisze ci najczęściej są wielcy urwisze, co zaś ważniejsza, reputacją taką cieszą się u wiernych nawet proroka. Jak takie zdanie stambulskiej ludności da się pogodzić z okazywanym dla derwiszy szacunkiem?... pojąć byłoby nieco trudno, gdybyśmy nie przywykli widzieć i gdzieindziej nieraz subtelnego rozróżniania instytucji od ludzi. Wystawić sobie można, z jaką troskliwością derwisze starać się muszą o utrzymanie w umysłach tej tak wygodnej dla siebie dystynkcji.

Najsławniejsze teke są: jedna tuż przy Pera, derwiszy kręcących się, druga w przedzielonem od stolicy Bosforem miasteczku Skutari, derwiszy wyjących. W ostatniej wiszą dotąd na ścianach różne sieczne narzędzia, któremi niegdyś w ekstazie krwawe sobie zadawali rany. Dziś to barbarzyńskie widowisko, jak mówią, z woli rządu usuniętem zostało.

Na zaszczyt Islamu powiedzieć należy, że wszystkie szaleństwa, a nawet sama instytucja derwiszy, zgoła żadnego w koranie nie ma źródła. Powstała ona z zętknięcia się mużulman z innymi wschodnimi religiami i zapatrzenia na ich wpoł-świętych, wpoł-kuglarzy

Ulemowie, to jest właściwe duchowieństwo, równie jak wyższe klasy mieszkańców, brzydzą się i gardzą derwiszami; ale gmin i kobiety, którym, jak wszędzie, powierzchowne formy imponują, pomimo dobrze wiadomych sprawek derwiszy, ze czcią spoglądają na ich kawowe odzienie, pilśniowe kolpaki i boscie nogi. Wpływ jaki na tę część ludności wywierają, zmusza i przeciwników do tolerowania, a nieraz i do kokietowania z tą bosą lecz potężną korporacją.

Do liczby religijnych pomników muzułmańskich należą jeszcze tak zwane *turbe*, to jest grobowce znakomitych stanowiskiem lub świętobliwością osób. Są to niewielkie, zwykle czworogranne kapliczki, gustownie różnokolorowym marmurem, malowidłem, rzeźbą i złoceniem z wierzchu przystrojone, a przez okraczone okna do wnętrza widok dające. Mały ogródek otacza je pospolicie dokoła. Wewnątrz ściany marmurowe, podłoga kosztownymi matami lub kobiercami pokryta, a w pośrodku, bogatemi przysłonione materyami, stoją trumny, otoczone grubemi, na wysokich lichtarzach świecami. Na trumnach sułtanów leżą fezy lub turbany, w piękne ozdobione kity. Do najpiękniejszych tego rodzaju pomników należy *turbe* ostatniego sułtana Mahmuda, pomiędzy starym serajem a meczetem św. Zofii zbudowane. Oglądając zawarte w nich kosztowności, które, choćby też klejnoty i fałszywe być miały, w samych materyach są bardzo wielkie, dziwić się trzeba że się dotychczas nie stały łupami zgromadzonych ze wszystkich stron świata złodziei i łotrów. Ustrzeżenie tyłu grobowców przed ich łakostwem, czyni zaszczyt czujności muzułmanów, której zresztą nie tak bardzo częste dają dowody.

Z kapliczkami takimi, dla nienawykłego zwłaszcza oka, wiele z pozoru mają podobieństwa okazalsze fontanny, tak w dziedzińcach głównych meczetów, jako też po różnych placach i rogach ulic wzniesione. Są to także niewielkie, lekkie, zgrabne, często cudowną maurytańską architekturą zalecające się, hojnie marmurami i złoceniami napisami z koranu ozdobre budowle, w których wnętrzu wznoszą się rury od wodociągów idące, a ze ścian bocznych woda bezustannym strumieniem płynie w kamienne czasze lub żłoby.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

### Od redakcyi.

Ukończony obecnie tom III *Tygodnika Ilustrowanego*, składający się z dwóch kwartałów (od 1 stycznia do 1go lipca 1864 r.), zbroszurowany, nabyć można w kantorze wydawcy po rs. 4. Poprzednie dwa tomy, obejmujące pięć kwartałów, sprzedają się również zbroszurowane: tom I po rs. 6, jako z trzech kwartałów, a tom II po rs. 4, jako z dwóch kwartałów złożony. Wszystkie trzy tomy *Tygodnika* kosztują razem 14 rs. w Warszawie; osoby z prowincyi w królestwie lub z cesarstwa, raczą takąż samą należność nadsyłać pod adresem wydawcy *Tygodnika Ilustr.*, z dodatkiem kwoty odpowiedniej na kosztą jednorazowej przesyłki.

Szanownych czytelników naszych z ulicy Bednarskiej i sąsiednich, a szczególnie na dole położonych zawiadamiamy, że dla dogodności ich ustanowiony został nowy kantor *Tygodnika Ilustrowanego* w sklepie norymberskim p. Kraśkiewicza przy ulicy Bednarskiej nr 2684 obok cukierni, gdzie otrzymywać mogą *Tygodnik* w każdą sobotę.

### Jan Śniadecki.

(Dokończenie.)

Jako człowiek nieskazitelnego charakteru, Śniadecki oburzał się spotykając w drugich złą wolę i wytykał im to śmiało; samemu nawet Kołłątajowi nie przepuścił, gdy ten jako rektor akademii działał z jej uszczerbkiem. Z tego powodu i między kolegami miał niechętnych. Często i zwawo między nimi chodziły listy w przedmiocie praw akademii, ale mimo chwilowe poróżnienie, Śniadecki prawdziwie szanował i uwielbiał Kołłątaja i szczerze się żałował, gdy kommissya, odwoławszy go, wizytę, a potem (3 października 1786) i rektorstwo akademii poruciła członkowi swemu, Feliksowi Oraczewskiemu. Śniadecki, jako sekretarz, miał wiele pracy przy nowym rektorze, a jeszcze więcej żałowania, gdy Oraczewski chociaż człowiek zacny, ale nieobeznany ze swemi obowiązkami, bez potrzebnych zdolności i zdrowych pojęć o nauce, wciąż łamał prawa akademii, zniechęcał jej członków i sprawił wiele zamieszania. Śniadecki osadzał sobie przykrości ścisłą przyjaźnią z zacnym Jaskiewiczem, opieką nad pięknie rozwijającym się młodszym bratem Jędrzejem, uprzejmą gościnnością właścicieli Pińczowa, gdzie często przebywał i widokiem przygotowań do

budowy obserwatorium na Wesołej. Sprowadzono materyały, ogród botaniczny otoczono murem, wyrównano miejsce pod obserwatorium i z wiosną 1787 miano rozpocząć budowę.

Aby jaknajlepiej urządzić zamierzone obserwatorium, chciał Śniadecki zwidzieć najcelniejsze tego rodzaju zakłady w Europie. Dlatego, uzyskawszy pozwolenie kommissyi edukacyjnej, w końcu marca 1787 puścił się w drogę. Niedługo bawiąc w Wiedniu i Paryżu, spieszył do Anglii, posiadającej wtedy najlepiej urządzone obserwatoria w Oxford, Greenwich i Slough, niedaleko Windsoru. Wszystkie obejrzał pilnie, osobliwie też w Slough, gdzie sławny swoim ogromnym teleskopem Herszel robił spostrzeżenia. Śniadecki dwukrotnie go odwiedzał, pracując z nim raz przez tydzień, drugi raz przeszło miesiąc. W przerwach od zajęć astronomicznych, doskonalił się w języku angielskim, którego zaczął się uczyć jeszcze w Getyndze, w czasie pierwszej swojej podróży; teraz taki w nim uczynił postęp, iż nietylko gładko pisał, lecz i mówił, Herszla często odwiedzał król Jerzy III. Poznawszy tam Śniadeckiego, zaprosił go aby bawił w Londynie, bywał u dworu kiedy będą pokoje; jakoż nasz astronom korzystał z zaproszenia, a Jerzy rozmawiał z nim zawsze z największą uprzejmością.

Spędziwszy w Anglii przeszło pół roku na pracy w obserwatoriach, zwidaniu uniwersytetów i pamiętek historycznych, wracał Śniadecki na Paryż, gdzie swoim uczonym przyjaciółom zdawał sprawę ze stanu nauk w Anglii, osobliwie też z postępu jaki tam zrobiła astronomia. Potem w Manheimie, z polecenia prymasa, zbadał towarzystwo meteorologiczne, aby ocenić ile pożytku dla nauki w Polsce możnaby osiągnąć ze stosunków z tym towarzystwem. W Krakowie stanął w końcu grudnia i spełniwszy polecenia uczonych zagranicznych, napisał obszerny list, a raczej rozprawę do księdza Poczubota, astronoma i rektora akademii wileńskiej, w której zdał mu sprawę z poznanej przez siebie postępu astronomii za granicą. Rozprawę tę dał na ręce podkanclerzego Joachima Chreptowicza niezapieczonej, jakby upoważniającej go przez to do przeczytania. Uczynił to miłujący nauki Chreptowicz, potem dał ją do odczytania królowi, i obydwaj radzi byli, znalazłszy nader jasny wykład przedmiotu wtedy nowego. Ale najbardziej rad był ksiądz Poczubot: obszernym, uczonym listem odpowiedział Śniadeckiemu, i odtąd zaczęły się między nimi stosunki szczerzej przyjaźni.

Tymczasem w akademii krakowskiej, z powodu częstego przestępowania jej statutu przez prymasa i rektora, wszczął się nieład i zamieszanie. Zniechęcone zgromadzenie nauczycielskie, gdy kommissya długo nie uwzględniała jego zażaleń, dokładnie wyłożyło je na piśmie i poruciło Śniadeckiemu odwieźć je do Warszawy. Przedstawienie otwarte i silne, zrobiło skutek. D. 21 września 1789 r. zapadła uchwała kommissyi, wzywająca do Warszawy rektorów obu dwu szkół głównych, razem z dwoma profesorami z każdej, dla przejrzenia i poprawy ustawy szkolnej. Śniadecki był z akademii krakowskiej, a ksiądz Strojnowski z wileńskiej. Po kilkomiiesięcznej pracy „pełnej niesmaku i mitregi,“ dokonana została poprawa statutu akademickiego, a z prawami wrócił szkolny porządek i ożywiła się gorliwość nauczycieli.

Dla Śniadeckiego pobyt w Warszawie miał tę osobistą ważność, że go zbliżył do Poczubota i Strojnowskiego i napowrót ożywił jego przyjazne stosunki z Kołłątajem. Kołłątaj w owym czasie, wyniesiony na urząd referendarza litewskiego, był duszą prawie całego prawodawstwa na sejmie konstytucyjnym. Przyjął Śniadeckiego z otwartym sercem, skłonił do zamieszkania w swym domu i ceniąc wysoko jego bystrość w obejmowaniu rzeczy, obszerne wiadomości i surową prawdość charakteru, zasięgał rady w najważniejszych zamiarach politycznych. Tym sposobem Śniadecki należał do obrad domowych u Kołłątaja, względem projektów do praw w czasie sejmku wielkiego. Zbiegali się na te obrady: Naruszewicz, Piramowicz, kanonik Jezierski, Działyński, Dekert prezydent miasta Warszawy i Bars, słynny wtedy adwokat. Ze wszystkimi temi osobami poznał się bliżej Śniadecki. Naruszewicz namawiał go, aby pisywał w rzeczach politycznych, ale Śniadecki nie mógł się tego podjąć, aż nadto będąc zajęty pracami edukacyjnymi; albowiem oprócz pracy nad poprawą statutu szkolnego, poruciła mu kommissya ułożenie etatu płac dla obu uniwersytetów i wszystkich szkół. Dlatego przy pomocy kassjera kommissyi, Karola Lelewela, ojca historyka, potrzebował przejrzeć wszystkie fundusze i nieraz większą połowę dnia przepędzać w archiwach.

W lutym 1790 roku, wróciwszy do Krakowa, od wdzięcznych kolegów, za gorliwą obronę praw akademickich, obrany został prezesem kolegium fizycznego. Tak do dawnych obowiązków profesora astro-

nomii i matematyki wyższej, przybył mu nowy, ważny i pracowity; bo od prezesa kolegium fizycznego zależały wszystkie katedry lekarskie, tak zwane kursa cyrulików i szpital św. Łazarza na Wesołej. Nieustanną gorliwością Śniadecki podolał wszystkim tym zajęciom, i jeszcze za pośrednictwem Kołłątaja starał się o zatwierdzenie przez sejm prawa Zygmunta I, nadającego nauczycielom szlachectwo osobiste, a po 20 latach uczenia dziedziczne. Potem 14 maja 1791, winszując Kołłątajowi wyniesienia na podkanclerstwo, przekładał mu potrzebę uczynienia kommissyi edukacyjnej czynniejszą, tudzież opisanie stanu nauczycielskiego stałym prawem, zapewnienia mu regularniejszego wyplat pensyj i skrócenia 20-letniego czasu uczenia. Wreszcie zajmowała go ważna myśl wymierzenia całego kraju według ścisłych przepisów geometryi i astronomii i sporządzenia dokładnej mapy topograficznej, statystycznej i wojennej. Myśl tę powziął już dawniej Joachim Chreptowicz, potem podniósł ją na nowo Tadeusz Czacki, który zbliżywszy się do Śniadeckim w Warszawie 1790 roku, namówił go do tej ważnej pracy, przyrzekając wyjednać u rządu potrzebny fundusz. Śniadecki za powrotem do Krakowa ułożył obszerny projekt, według którego on sam z Feliksem Radwańskim, uzyskawszy do pomocy inżynierów lub uzdolnionych uczniów ze szkół i zaopatrzwszy się w dokładne narzędzia, umyślnie na ten cel zrobione w Anglii, mieli wymierzyć całą Polskę i Litwę i sporządzić ile można dokładną kartę. Województwa, w miarę ich rozległości, miały być robione na jednej karcie, rozkładane na dwie i więcej, lub też po dwa łączone na jednej. Do każdej karty miał być dołączony opis odległości miejsc, wykazana ludność, wysokość gór, rozległość lasów, gruntów ornych i nieuprawnych, uwagi ekonomiczne, handlowe, astronomiczne, strategiczne i t. d.

Tak ważny zamiar, przy zdolnościach i rzadkiej skrupulatności Śniadeckiego we wszystkiem co robił, mógł być spełniony znakomicie, ale nie przyszedł do skutku, z powodu ówczesnych nieszczęść krajowych. Śniadecki musiał na czas opuścić nawet wykład nauk, usunawszy się do Pińczowa, lub tułając się po większych ustroniach swoich przyjaciół.

W r. 1793 razem z Poczubotem pracowali na sejmie grodzieńskim, aby uratować zagrożone fundusze szkolne. „Zamknięci w jednej izbie, powiada Śniadecki w żywocie Poczubota, często całe noce trawiliśmy na układaniu, tłumaczeniu i przepisywaniu w dwóch językach rozległych pism o rzeczach edukacyjnych.... A lubo wkrótce wypadki krajowe w niwecz obróciły owoce tych wszystkich trosk i zabiegów, został atoli uratowany fundusz, jako zasada całego dziś naszego bytu.“

W ciągu lat następnych akademii krakowska poniosła wielkie kłęski, które kwitnący jej stan zupełnie zmieniły. Nowi, źle dobrani profesorowie utworzyli nieprzyjazne sobie stronnictwa, ludzie znaczniejsi usunęli się, nauki upadły. Śniadecki, zmartwiony takim stanem rzeczy, przestał się mieszać do zarządu akademii i oddał się wyłącznie pracom astronomicznym, woląc, jak powiadał, uważać ziemię jako kulę należącą do słońca, niż jako pole utarczek namiętności ludzkich. Badał historią astronomii i stanowisko na jakie wyniósł ją Kopernik, do czego, jak wyżej wspomnieliśmy, znalazł wielką pomoc w archiwum akademii; przytęm pilnie uważał stan nieba i postrzeżenia swoje ogłaszał w różnych pismach zagranicznych, osobliwie zaś w *Efemerydach* berlińskich. Owocem tych prac było to najprzód, że wstawił obserwatorium krakowskie w Europie, potem że jeszcze będąc w Krakowie, napisał dwa ważne dzieła: obszerną *Rozprawę o Koperniku i Geografią fizycznomatematyczną*.

O Koperniku napisał w skutek danego sobie w 1801 roku przez warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk zadania: pokazać jak wiele winny Kopernikowi nauki matematyczne, mianowicie astronomia, w wieku w którym żył, ile i jak korzystał z poprzedników i wiele mu zawdzięczają też nauki w czasie obecnym. Śniadecki rozwijał te pytania z właściwym sobie darem, uczenie, jasno i gruntownie. Przebiegłszy stan astronomii do Kopernika, wykazał że jej podstawy były niedokładne, a często mylne; że Kopernik najbardziej na zasadzie własnych spostrzeżeń doszedł, iż głównym działaczem w świecie słonecznym jest siła ciężkości, mocą której i nasza ziemia obraca się około słońca, a obrot jej roczny i wirowy jasno wyłożył; słusznie zatem mieć go należy za twórcę nauki astronomii.

Rozprawa ta, przysłana do Warszawy we wrześniu 1802 r., przyjęta była z uniesieniem. Obecny temu Czacki, w liście do Śniadeckiego z dnia 13 września 1802 r. powiada: „Już tedy odebrałszy twoje dzieło. Kobiety i mężczyźni, uczeni i uczyć się chcący, równą czcią dla Kopernika i dla ciebie są zdjęci. Jednomysł-

nie mówią, że nic równego w takiej materji i z tą wymową nie napisano. Kopczyński całe dzieło jako najpiękniejszy plód grammatycznych prawideł adoruje... Aby ci dał krótki obraz ukontentowania, jakie twe dzieło zrobiło, dość powiedzieć, że dziś o godzinie 10 rano jest mi oddane, a do godziny 9 w wieczór, o której piszę, jedenaście razy jest przeczytane. Jutro czytamy w zgromadzeniu, bo się nie mogą oprzeć natrętności kolegów, którzy wyprzedzać zdają się w chęci czytania i admiringowania."

Powodem do tak powszechnego uniesienia była nietylko dokładność dzieła i piękność języka, lecz i inne ważniejsze względy. Żywił niemiecki gwałtem wypierał język polski, a przywłaszczając sobie Kopernika, chciał pozabawić Polskę jednej z najświetniejszych jej wielkości. Kiedy zawiązało się warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk, jednym z najpierwszych jego starań było dowiedzieć, że Kopernik był Polakiem. Śniadecki uczynił to w sposób świetny i dlatego pracę jego uważano nietylko za znakomite dzieło uczone, lecz i za czyn patryotyczny. Przełożono ją na język francuzki i włoski, a drukarnia Mostowskiego miała od niej rozpocząć wydawnictwo pisarzy polskich.

Następnego roku Śniadecki przysłał Towarzystwu przyjaciół nauk swoje Geografią matematyczną, która znalazła równie dobrego przyjęcia i długo wywierała ważny wpływ na oświecenie krajowe. Sława Śniadeckiego stawała się coraz głośniejszą. Woronicz w długiej mowie, mianej na posiedzeniu Towarzystwa, d. 7 maja 1803 r., najzaszczytniej o nim się wyrażał. Czacki, „dumny z przyjaźni Śniadeckiego," tém więcej ścisłał jej węzły; zasięgał jego rady względem urzędzenia szkół wołyńskich i wyboru dla nich nauczycieli, i z upoważnienia księcia kuratora wileńskiego najmocniej zachęcał, aby się przeniósł do Wilna. Ale Śniadecki, znudzony pracą, a jeszcze więcej niezgodą między professorami krakowskimi, nabrał „nieprzewidywanego wstępu do pedagogii i wszystkiego co technie korpusem." Pragnął wypocząć i uspokoić swój umysł po doznanych przykrościach; dlatego, „znalazszy fundusz w czystej przyjaźni," w końcu sierpnia wyjechał za granicę do Włoch, Francji i Niemiec.

Blisko dwa lata zwidzał najświetniejsze obserwatoria tych krajów; uczestniczył w mierzeniu łuku południka przez barona Zach; na prośbę Czackiego wybierał i zakupował dla Krzemienia narzędzia astronomiczne i fizyczne i polecał na nauczycieli zdolniejszą młodzież polską, kształcającą się za granicą. Wracając do kraju, kupił sobie za kilkaset dukatów narzędzia astronomiczne, osiadł w Krakowie i uzyskawszy emeryturę od rządu austriackiego, postanowił prywatnie zajmować się obserwacjami astronomicznymi. Ale Czacki i Kollataj zdołali go namówić do zmienienia zamiaru i przyjęcia posady astronoma-obszawatora w Wilnie.

Oprócz emerytury austriackiej, zapewniono mu pensji rocznej 10,000 złp., nową emeryturę po dziesięciu latach i powiększenie jeszcze tych korzyści płacą za urząd rektora, jeżeli nim obrany zostanie przez członków uniwersytetu.

Za przybyciem do Wilna spodziewany wybór na rektora nastąpił, i Śniadecki w marcu 1807 roku piękną mową rozpoczął swoje obowiązki. Przedewszystkiem i najmocniej troszczył się o wyświecenie i uregulowanie funduszu naukowego, powstałego z bardzo znacznych na Litwie dóbr pojezuickich. Wielką część tych dóbr komisyya rozdawnicza sprzedała za bezcen, resztę rozdała szlachcie w dzierżawę wieczystą, z obowiązkiem opłacania po 4½ od sta od summy na jaką oszacowano te dobra. Niedosć na tém że w sprzedaży i szacowaniu dóbr pojezuickich dopuszczono się gorszących nadużyć, jeszcze uszczuplony fundusz naukowy, przez zamienienie go na pieniądze, narazony był na ciągle zmniejszanie się, w skutek spadania kursu monety. Śniadecki, pracując niegdys z Kollatajem w akademii krakowskiej, wiedział z doświadczenia jak zgubną jest rzeczą kapitalizować fundusze edukacyjne; toż w skutek tego akademii krakowska, niegdys hojnie uposażona, bardzo zubożała. Podobnież i na Litwie: ledwie upłynęło lat 30 od ustanowienia komisyyi edukacyjnej, okazał się niedostatek funduszu, i niedostatek ten coraz bardziej musiał wzrastać, z powiększaniem się potrzeby oświecenia. Dlatego Śniadecki, nie wiążąc się rozporządzeniami komisyyi rozdawniczej, chciał fundusz naukowy ustalić na słusznej, rozumnej i przezornej podstawie—na ziemi. W tym celu przekładał, aby własność dóbr edukacyjnych na zawsze zapewnić szkołom. Kapitały, skoro na to pozwolą warunki pod którymi je umieszczono, podnieść i zamienić na dobra. Od dochodu z tych wszystkich dóbr ustanowić pewny czynsz, oparty nie na pieniądzu, jako niestałym, ciągle zmiennym wyobraźnieluceny, lecz na zbożu, którego

miejsce wyjada najwięcej. Co lat piętnaście na nowo ustanawiać szacunek pewnej miary tego zboża, na zasadzie średniej ceny targowej z trzech lat ostatnich. Tym sposobem czynsz co do ilości miar zboża będzie wieczny i nieodmienny, n. p. 5 miar od stu, co do ceny pieniężnej będzie się zmieniał co lat 15, rosnąc zaś razem z dochodem z dóbr, nie obciąży dzierżawców, a zabezpieczy potrzebę oświecenia.

Starając się przeprowadzić tę myśl zbawienną, wyłożył ją gruntownie i z zacnem obywatelskiem uczuciem, ale mimo to znalazł przeciwnika w Czackim, zastępującym czasowo kuratora. Czacki widział szkodliwość sprzedaży dóbr edukacyjnych, lub ich dzierżawy za pewny stale oznaczony czynsz pieniężny; ale gdy wiele z tych dóbr przeszło w ręce możnych familij, uważał odyskanie ich już za niepodobne i radził przestać na podwyższeniu czynszu dzierżawnego do 6 od sta, aby sobie stratę choć w części nagrodzić. Śniadecki w szlachetnym uporze nie przestawał na czasowem zwiększeniu funduszu; nie chciał wchodzić w żaden kompromis z niesłusnością i domagał się stanowczej rękoi, zmiany złego prawa, które sprzyjając kilku-nastu rodzinom, narażało interes wszystkich następnych pokoleń.

Długi i ważny ten spór, prowadzony przez dwóch zacnych ludzi, szanujących się wzajem, lecz jako z wierzchnicy różniących się w zdaniu, zakończył dopiero książę kurator, obrawszy drogę pośrednią. Mianowane w końcu 1807 roku dwie nowe komisyye sądowe, litewska pod kierunkiem Tomasza Warzeckiego i wołyńska pod Czackim, zajęły się odzyskiwaniem funduszu naukowych i przy gorliwym usiłowaniu wykryły do czterech milionów zł. p. Względem użycia jednak tych funduszu, między dwoma uczonymi przyjaciółmi przyszło do jeszcze większego sporu, który oziębł ich dawne dla siebie uczucia. Śniadecki, jako rektor uniwersytetu i zwierzchnik wszystkich szkół w dzielnicy zabużańskich guberniach, miał prawo i pragnął dla dobra oświecenia publicznego, aby uniwersytet rozrządzał funduszami i nadawał jeden kierunek wychowaniu całego kraju. Czacki, zamyśliwszy, choć nie z nazwiska lecz z istoty rzeczy, utworzyć w Krzemieniu szkołę równą uniwersytetowi, naruszał tę jedność i usiłował nietylko oddzielić fundusze trzech południowych gubernij, lecz i szkoły w nich usunąć z pod władzy uniwersytetu i urządzić według własnych pomysłów. Na to w żaden sposób, mimo nalegań, prośb, gniewu, powoływania się na dobre skutki z reform Czackiego, nie chciał się zgodzić jego uczony przyjaciel, dowodząc z doświadczenia nabytego w akademii krakowskiej, że jedność w nauce jest niezbędną dla jej dobra, że częste reformy są zgubne, bo nie pozwalają rozwinać się ustawom i wprowadzają samowolność.

Następny wyjątek z listu Śniadeckiego do Czackiego z dnia 4 grudnia 1809 dokładnie maluje i naturę sporu, i charakter Śniadeckiego: „Bardzo mi przykro, że się w niektórych myślach zgodzić nie możemy. Powinności mego urzędu żadnym na świecie względem sakryfikować nie zwykłem, i to jest walna przyczyzna, dla której postanowiłem sobie dawniej żadnych nie przyjmować urzędów. Jeżeli złamał to przedsięwzięcie, na mocne łaskawych i przyjacielskich osób nalegania, nie wyrzuci mi moje sumienie, że szedł w tę zmianę życia za jakimkolwiek osobistym widokiem lub pożytkiem. Myśli moje zwykłem popierać dowodami tłumaczącami moje przekonanie, chcąc wszystkim pokazać, że nie idę za kaprysem, uporem lub przywidzeniem. Wiem że się mogą mylić i błędzić, dlatego z wielką skwapliwością i żądzą oświecenia się roztrząsam wszystkie przeciwko sobie zarzuty; kiedy te nie mogą wzruszyć i osłabić mego przekonania, radzę się i poddaję moje myśli pod sąd osób niestrannych, broniąc się nawet przeciwko złudzeniom miłości własnej. Dobro publiczne było zawsze moim bóstwem: gdzie widzę jego niebezpieczeństwo, choć w dalekich wystawiając się skutkach, wolę ustąpić z placu urzędowania, jak obrazić uczucie mojej powinności."

W istocie gorliwość i wielka ścisłość odznaczała wszystkie jego czynności w zarządzie wydziałem wileńskim: uposażył ogród botaniczny, zbudował obszerną salę chemiczną, zaprowadził porządek i karność wewnętrzną, uzupełnił katedry w uniwersytecie, osadził je zdolnymi i zacnymi ludźmi, ile możność dozwalała z pośród krajowców, ożywił usilność nauczycieli i zapal uczniów. On sam jako astronom, brat jego Jędrzej jako znakomity chemik i lekarz, ks. Jundziłł jako botanik, Grodeck jako filolog, Bojanus i inni sprowadzili świetne czasy dla nauk, które jakby przeniosły się razem ze Śniadeckimi z Krakowa do Wilna. Osobliwie zakwitły matematyka, medycyna i nauki przyrodzone. Medycyna w Wilnie wzniosła się na

taki stopień, że zaciągnięci za granicą uczniowie na lekarzy do szpitali wojskowych, przysyłani byli do Wilna, a gdy nie mogli słuchać nauk w języku polskim, powiększono dla nich fundusz, byle tu skończyli wydział medyczny.

Niemniej troszczył się Śniadecki o poprawienie i pomnożenie liczby gimnazyów i szkół niższych. Otwarto nowe gimnazyja w Kownie, Witebsku i Mohylowie; uzupełniono gimnazyum w Świsłoczy; powiększono liczbę szkół zakonnych, tamtym guberniom bardzo pożytecznych; przy uniwersytecie otworzono seminaryum główne, w celu usposobienia świątłych i przykładowych kapłanów. Wychowawcom tego seminaryum, oprócz lekcji słuchanych w uniwersytecie, professor wymowy kościelnej, ks. Filip Neryusz Golański, wykładał w godzinach nadzwyczajnych prawidła i przykłady wymowy, doskonaląc ich w stylu i pisaniu językiem narodowym.

Aby dźwignąć szkółki parafialne, Śniadecki wezwał biskupów trzech obrządków o złożenie mu sprawy ze stanu tych szkółek i dając przykład, założył je w dobrach nadanych uniwersytetowi; gorliwie czuwał nad moralnością i uzdolnieniem kandydatów na nauczycieli do wszystkich szkół; wprowadził dla nich popisy tygodniowe i lepsze ich wypracowania kazał drukiem ogłaszać; dla czuwania zaś nad moralnością, dokładnie opisał obowiązki kapelanów szkolnych.

Ożywione nauki, karność i ścisły porządek w administracji funduszu, obudziły powszechne zadowolenie i ufność, zachęcając mających dobroczynców do zrobienia nowych zapisów na rzecz wychowania publicznego. Otworzył się konwikt Michała Walickiego, podstolego niegdys koronnego, na osmiu jego imienników, opatrzony w 12,000 złp. rocznego dochodu. Mikołaj Łaniewski-Wońk, marszałek rohaczewski, zapisał fundusz na odzienie, żywność, mieszkanie i naukę 12 ubogiej szlachty swego powiatu. Ignacy Karp, chorąży upicki, na szkołę i szpital dla włościan w dobrach Johaniszkielach, oddał testamentem 400,000 złp., a nadto 40,000 złp. na pierwotne urządzenie tych zakładów. Dobroczynność powszechna zawsze spieszy z ofiarą, gdy się przekona, że jej dary należą się spożytkowane zostają.

Ale oprócz tych zasług obywatelskich, Śniadecki odznaczał się jeszcze jako znakomity pisarz polski, czuwający nad współczesnym ruchem umysłowym i usiłujący nadawać mu kierunek. Z powołania i upodobania dochodzącego, jak sam mówi, aż do namiętności, był astronomem i matematykiem, więc oceniać go należy głównie ze stanowiska, na jakie się sam stawiał. Jako specjalista—astronom i matematyk, był zapewne największym u nas po Koperniku. Inne nauki uważał tylko jako pomocne do matematyki i za rozrywkę. Zajmował się niemi z wrodzonej sobie szlachetnej ciekawości, znał i lubił je i starał się je rozszerzać. Za najdzielniejszy do tego środek uważał język ojczysty, i zamiłowaniem w nim posuwał do takiego stopnia, że nieledwie, jak Kondyllak, całą mądrość zasadał na jego wydoskonaleniu, przyczem jednak słowa nie oddzielał od myśli; przeciwnie, utrzymywał że idą z sobą w parze, wspierając się nawzajem. Widać to z listu Śniadeckiego do Kollataja z dnia 19 listopada 1809 r. .... „Oświecenie towarzyskie, zależące na dobrém użyciu i przystosowaniu nabytych wiadomości, najwięcej się szerzy i rośnie sztuką mówienia i pisania. Myśl dobrze wystawiona, łatwo się pojmuje i zatrzymuje starannie. Nauki pomagające niezmiernie uprawie języka, zyskują wzajemnie na jego doskonaleniu. Ale sztuka dobrego pisania, będąc więcej darem talentu jak nauki, łatwiej się zaszczenia przez dzieła dobrze pisane, jak przez grammatyczne i metafizyczne rozprawy.".... Wierny tej zasadzie, starał się sam pięknie pisać, zachęcał do tego i prowadził innych. Oprócz wspomnianej już pracy, to jest, algebry, w której stworzył terminologią polską, rozprawy o Koperniku i geografii matematycznej, napisał żywot Kollataja, a przy nim bardzo ciekawą historią akademii krakowskiej i żywot Poczubutta, ogłosił drukiem mowy miewane na zgromadzeniach uroczystych w uniwersytecie wileńskim i pisywał krytyki do polskich pism czasowych, walcząc w obronie ducha i czystości języka ojczystego, a tamując wstęp filozofii niemieckiej. Styl Śniadeckiego, pominawszy wyrazy łacińskie, używane niekiedy w rzeczach naukowych, i dzisiaj może być wzorem dobrego pisania; osobliwie godne uwagi jego okresy rozmierzone artystycznie. Co się tyczy treści, żywoty Kollataja i Poczubutta, osobliwie też pierwszy, jako napisane przez naocznego świadka, są ważnym materiałem historycznym; podobnież znaczenie mają zagajenia posiedzeń w uniwersytecie wileńskim, jako obejmujące sprawozdania z czynności rocznych wydziału wileńskiego. Krytyki i rozprawy o filozofii Kanta były napisane,

aby ostrzedz Polaków o szkodliwości nowego kierunku w literaturze i myśleniu. Martwiło to Śniadeckiego, że Towarzystwo przyjaciół nauk, mające czuwać nad czystością języka polskiego, pomieszczało w swoich rocznikach rozprawy najmocniej grzeszące przeciw tej czystości; martwiło że Fełiński wznowił *jotę*, przyjmując ją za spółgłoskę, że odrzucał dwu- i trójgłoski, w skutek czego „ogalał język z właściwej mu harmonii i zamiast 336 spadeków i zagieć głosu, przyjmował ich tylko ośm;“ martwiło że literatura piękna, osobliwie poezya, wchodziła na jakąś dziwną drogę, wprowadzając na Parnas wróżki, upiory, zaklęte jeziora, pałace i tym podobne *piękności*, o których wiedzą i baby pod *kądziałą*. Ale najbardziej martwił się transcendentalną filozofią Kanta, tą, jak mówił, metafizyką Arystotelesa z piętnastego wieku, wznowioną w dziewiętnastym, aby zarażać głowy Polaków. Śniadecki gardził tą filozofią, nie dającą się sprawdzić empirycznem doświadczeniem, do jakiego w algebrze i fizyce przywykł D'Alembert polski; uważał ją za niepotrzebną i zbyteczną po tym, co w myśleniu uczynili Descartes, Leibnitz i Lokke.

Ile mu sił starczyło, walczył z pojawiającym się kierunkiem w poezyi i filozofii, uważając go za błędny, cofający nas wstecz w średnie wieki. A tymczasem ze średniowiecznych, fantastycznych, nieraz cudackich form, rodziła się nowa epoka, nazwana *romantyzmem*, w braku właściwszego nazwiska, bo jej rysy i charakter jeszcze się wtedy nie oznaczyły; dopiero z czasem wyrosła jako narodowość. Oparła się na średnich wiekach, bo wszelka trwała budowa musi wznosić się ze starych podwalin, z tego co jako mocna, pomnikowa treść spłynęło do skarbnicy ducha i stało się fundamentem dla nowo dzwiganiej myśli.

Plodnej zaś treści było więcej w średnich wiekach, niż w burzącym kierunku XVIII wieku, niż w klasycyzmie. Śniadecki, jako wychowaniec ustępującej klasycznej epoki, bronił wytrwale jej zasad, karmił nową poezją, przypominając jej nie bez pożytku starożytne wzory; nie dopuszczał Lelewela do katedry historii, za jego styl niedość polski; był przeciwnikiem Gołuchowskiego, jako zwolennika filozofii niemieckiej. Uniwersytet stawał się dla niego coraz więcej obcy, i dlatego najprzód (1814 roku) zrzekł się rektorstwa, zajmując tylko obowiązki astronoma, a w dziesięć lat potem, z powodu przykrości za rektorstwa Twardowskiego, usunął się zupełnie do dóbr brata swego Jędrzeja, gdzie po sześciu latach spokoju, zmarł 21 listopada 1830 roku, prawie niepostrzeżony. Tylko historia oświaty krajowej zapisała jego imię, jako czło-

wieka wysokiej zdolności, nieskazitelnego i mocnego charakteru, niezmiernie czynnego w sprawie wychowania krajowego, jako professor i sekretarz akademii krakowskiej, tudzież jako rektor uniwersytetu wileńskiego; męża głębokiej nauki, zaszczyconego przyjaźnią

we, zawdzięczamy wydobycie z ukrycia kosztownej tej i ciekawej pamiątki złotego Zygmunta wieku. Jest to róg bawoli znacznych rozmiarów, bogato w stylu odrodzenia w srebro okuty. Największa jego średnica blisko 6 cali, linia zaś od osady ku końcowi rogu mierząca, 20 cali wynosi. Okucie składa się z trzech gładkich, szerokich pierścieni, rytowanych sposobem *nello* zwanym, a zakończonych przezroczyście wyrabianymi wzorami, które bardzo pięknie na czarnem tle rogu występują. Podstawa całkowicie srebrna, wyobraża kłęzącego górnika, uchylającego się pod ciężarem.

Dzisiaj nie sama tylko waga kruszcu nadaje tej pamiątce wartość w oczach naszych; większą daleko otrzymuje ona w skutek rzeczywiście artystycznego i zapewne krajowego wyrobu. Przytem herby i data na opaskach wyryte, zaspokajają naszą ciekawość co do wielu okoliczności rogu tego dotyczących. Znajdujemy tam u góry orła jagiellońskiego i węzła Sforcyów, u dołu herby Bonarowa i Ogończyk, oraz rok 1534. Dwa pierwsze odnoszą się do panującego wówczas Zygmunta Starego i Bony, dwa drugie oznaczają Seweryna Bonarę i żonę jego wojewodżankę kaliską, Kościelecką z domu, którzy róg nasz górnikom wielickim ofiarowali.

Rodzina Bonarów, Bonerów, czasem zwana Bochnarami, musiała zdawna być osiadłą w Krakowie, bo już za Kazmirza Wielkiego znajdujemy tego ślady. Za ostatnich Jagiellonów zarządzają mianowicie kopalniami i mennicami i niepospolitym słyną majątkiem. Jan Bonar wykupił rozmaite królewszczyzny i opłacił służbę dworską Zygmunta I, na co wyłożył około 200,000 czerw. złotych; sownicie też od króla wynagrodzonym został burgrabstwem i żupnictwem krakowskim, oraz licznymi starostwami. Wielką część tychże o-

dziedziczył po nim Seweryn Bonar, a nadto był kasztelanem sądeckim; mianował go też cesarz Ferdynand baronem na Ogrodziencu i Kamieńcu, co także dowodzi, że bardzo bogatym być musiał. Jako żupnicy odznaczyli się Bonarowie dobrym zarządzeniem i troskliwością o dochody z kopalni, niemałe summy w nie wkładając. Dziś jeszcze szyb jeden Bonarowski się zowie; nic więc dziwnego, że się przechował dar Bonarów górnikom zrobiony. Musiało ich być więcej.

Rogi, od niepamiętnych czasów przez pasterzy i myśliwych do nawoływania używane, zapewne też współcześnie jako naczynia służące poczęły; później w mitologii greckiej znajdujemy je jako godło obfitości, i przynac trzeba, że Bonarowie słusznie w tym zrobili zastosowanie. Przebrały się skarby olkuskie, górnictwo niemal całe odłogiem leży; Wieliczka jednak i Bochnia nie przestają milionami centnarów soli zaopatrywać sąsiednie krajow. K. B.



RÓG OBRZĘDOWY GÓRNIKÓW WIELICKICH. (Rys. Lewicki podług fotografii Beyera.)

najznakomitszych uczonych współczesnych; astronomia pożądanego przez obce państwa, które ofiarowały mu posady pod nader chlubnymi warunkami. Lecz gorąco miłując swój kraj, jemu tylko chciał nieść usługi, czyniąc to prawie do samego zgonu, według najlepszego swego rozumienia. Takim działaczom dobrej wiary, należy się od potomnych, oprócz czci za zasługi, względne i głębsze ocenienie ich przekonani, choćby w końcu zawodu rozchodzących się z opinią ogółu. Wojciech Grochowski.

## RÓG OBRZĘDOWY GÓRNIKÓW WIELICKICH.

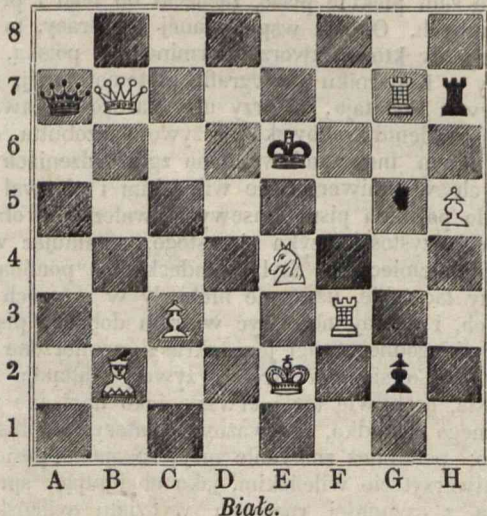
Wystawie starożytności i zabytków sztuki, urządzonej 1858 r. w Krakowie przez Towarzystwo nauko-

## SZACHY.

### ZADANIE LXXIII.

Białe zaczynają i zmuszają czarne do dania sobie (białym) mata za siódmym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 72.

Białe.

- 1) D 3 — D 5
- 2) F 4 — H 6 †
- 3) F 4 — F 6 biorą †
- 4) E 7 — G 7 biorą † i mat.

Czarne.

- 1) F 6 — D 5 biorą
- 2) D 5 — F 6
- 3) F 8 — G 8

Gdyby czarne posunęły: 2) F8—G8 wtedy widocznie dostałyby mata za trzecim posunięciem

Rozwiązanie rebusa umieszczonego w Nrze 94.

Mazurowie nasi  
Po jaglanej kaszy  
Słone wąsy mają,  
W piwie je maczają.

## REBUS.

